


ŚWIT

MIESIĘCZNIK UCZENIC PRYWAT. GIMNAZJUM
IM. H. KAPLIŃSKIEJ W KRAKOWIE.



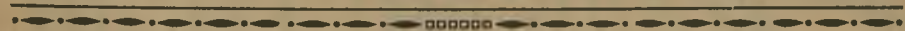
Po powrocie z Paryża.

W maju b. r. otwarto francuską wystawę kolonjalną. Wystawa ta silnie reklamowana obudziła zainteresowanie we wszystkich państwach, to też radość moja nie miała granic, gdy dowiedziałam się, że w pierwszych dniach czerwca będę mogła odbyć wycieczkę do „Stolicy świata”. Warto było wysilać się nauką i przechodzić maturyczne dreszcze, gdy nagrodą była cudowna i zawsze wymarzona podróż do Paryża.

Z Krakowa wyjechałam 2 czerwca i po 37 godzinach znalazłam się na paryskim bruku. Pierwsze wrażenie nie było zbyt miłe, brak czystości na ulicach musi przykro uderzyć nawet... mieszkankę Krakowa. W miarę jednak zwiedzania miasta zachwyt mój dla Paryża wzrastał. Szczególnie silne wrażenie wywarł na mnie grób Napoleona, słynna katedra Notre-Dame, Panteon, a przede wszystkim kościół Sacre’Coeur, zbudowany na wyniosłym wzgórzu, z którego rozciąga się przepiękny widok na całą nadsekwąską stolicę.

Dłuższą chwilę poświęciłam na zwiedzanie Louvre’u, gdzie w wspaniałych galerjach zgromadzono arcydzieła największych mistrzów świata. Pojechalismy również do Wersalu, Malmaison i Fontainebleau. Przepych tych rezydencji wywarł na mnie oszałamiające wrażenie, a liczne pamiątki historyczne zdają się wskrzeszać całą przeszłość Francji, dni jej chwały i klęski.

Po zapoznaniu się z miastem i jego zabytkami, przystąpiliśmy do właściwego celu wycieczki — do zwiedzania wystawy.





Tereny „Exposition coloniale“ położone są w lasku Vincennes nad jeziorem Daumesnil. W porównaniu z wystawą poznańską nie są one zbyt rozległe.

Ekspozyty zgromadzone są w rozmaitych pawilonach, zależnie od miejscowości z jakiej pochodzą. Dzięki temu można mieć pewne wyobrażenie o krajobrazie i życiu gospodarczym danej kolonii.

Ekspozyty pierwszego pawilonu jaki zwiedzałam zainteresowały mnie bardzo. Były to mianowicie trofea wyprawy odbytej w głąb Afryki na specjalnie w tym celu skonstruowanych autach.

Zgromadzono tu przedewszystkiem okazy fauny afrykańskiej, a więc prześliczne ptaszki, antylopy, krokodyle, a nawet maleńkie słoniątka i nosorożce.

Imponująco przedstawia się pawilon francuski. W oddziale przemysłu ciężkiego można podziwiać luksusowo urządzone wagony, w innych oddziałach prześliczne meble, wspaniałe toalety i t. p.

Na uwagę zasługuje też pawilon misyjny. Część wnętrza urządzona jest na wzór kapliczki z głębi Afryki, po za tem można dowiedzieć się wielu interesujących rzeczy o pracy misjonarzy.

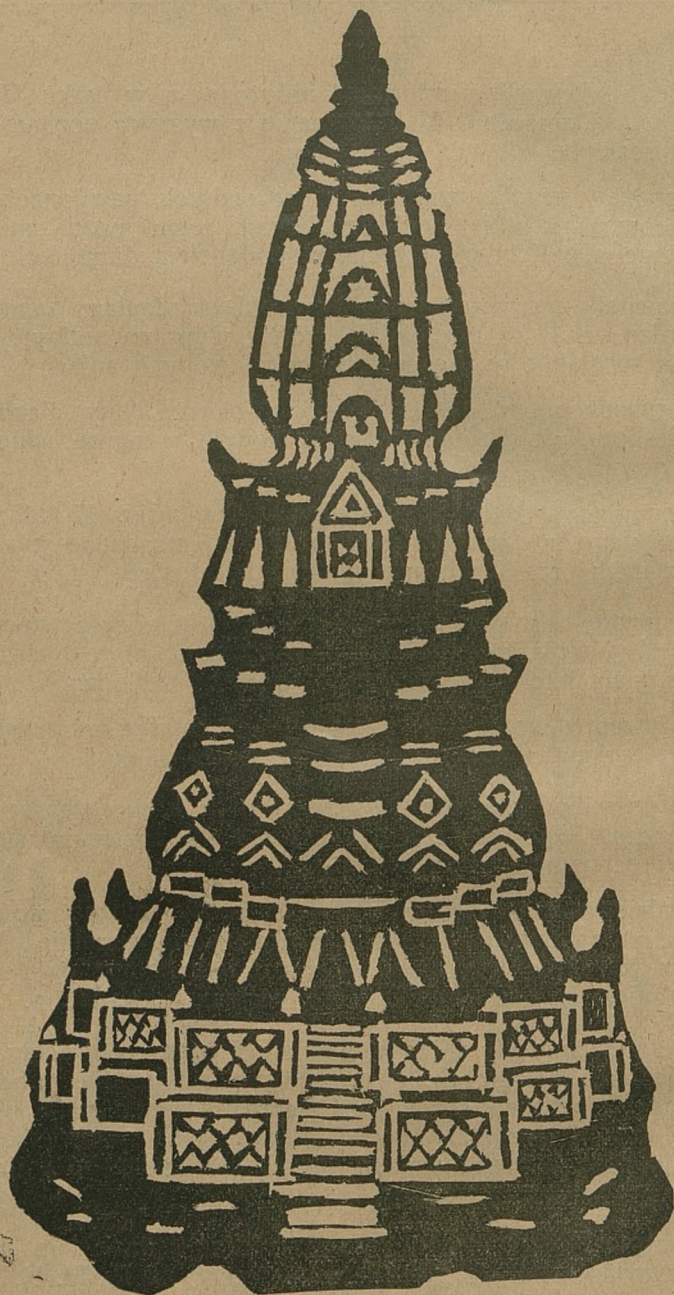
Motywytem dekoracyjnym wystawy jest wioska murzyńska składająca się z lepianek zbudowanych z czerwonej gliny.

W pośrodku znajduje się sadzawka z krokodylem i żółwiem, opodal wznosi się wieżyczka z której szczytu rozlegają się dźwięki pieśni o mocno monotonnej melodji.

Spodziewałam się, że w wiosce tej będzie można zapoznać się z życiem murzynów, jednak rozczarowałam się zupełnie. Murzynów spotkałam zaledwie kilkunastu na całym terenie wystawy, a wnętrza lepianek zajęte są przez przekupniów perfum, koralu i t. p.

Tu spotykamy się z jedną z atrakcyj wystawy, pociągającą nie tylko dzieci ale i starszych, a mianowicie za pewną opłatą można przejechać się na wielbłądzie. Duże zainteresowanie budzi ogród zoologiczny, którego charakterystyczną cechą jest to, że zwierzęta umieszczone między sztucznymi skałami, nie są oddzielone od widzów kratami, tylko głębokimi rowami.

Wystawa posiada także luna-park, który jednak nie cieszy się takim powodzeniem jak „wesołe miasteczko“ na P. W. K.



Kutnówna kl. VI.

Do piękniejszych budynków wystawy należy świątynia chińska z posągami Buddy i dom bogatego Hindusa mieszczący w swem wnętrzu wiele wspaniałych wyrobów z kości słoniowej.

Lecz bezsprzecznie najbardziej imponującym budynkiem jest świątynia indyjska. Zbudowana z drzewa imitującego wyglądu kamień jest najwierniejszą kopją świątyni w Angkorze. To arcydzieło architektury budzi powszechny zachwyt, to też wielkie było nasze oburzenie, gdy dowiedzieliśmy się, że jest ono zakupione przez towarzystwo filmowe, które ma zamiar je spalić przy nakręcaniu filmu.

Wieczorem świątynia nie traci nic ze swej wspaniałości, gdyż oświetlona silnymi reflektorami wynurza się z cieniów nocy jeszcze piękniejsza i potężniejsza, tak że mimowoli nasuwa się wątpliwość czy takie cudo może być dziełem rąk ludzkich.

Lecz nie tylko świątynia, ale i wystawa najlepiej prezentuje się wieczór, kiedy to tonie w powodzi różnokolorowych świateł.

Wspaniałe fontanny pięknie oświetlone zmieniają co chwilę barwę, ściągając tysiące widzów.

Z nastaniem mroku po jeziorze Daumesnil przesuwają się cicho łodzie w kształcie ryb, łabędzi, odcinając się białą plamą na ciemnem tle wody i drzew.

Aż wreszcie na wysepce na tle kolorowej fontanny zjawia się balet przypominający rój motyli o tęczyowych skrzydłach, cudnie zmieniających się w ciągłym zmienianem oświetleniem.

Jednak pomimo tych wszystkich atrakcyj ogólne wrażenie było nieszczęśliwe, bo przecież iluminacja fontanny i balet nie stanowią istoty wystawy.

Jak już wspominałam mieszkańców krajów egzotycznych była znikoma ilość, a prócz tego wystawa nie jest jeszcze wykończona, mimo, że od chwili jej otwarcia upłynął już miesiąc. Wszędzie spotyka się grupy robotników którzy mimo pośpiechu nie uporali się na czas z robotą.

Patrząc na to przypominałam sobie naszą wystawę poznańską i jestem dumna gdyż uprzytomniłam sobie, że doskonała organizacja i punktualność, z jaką otwarto już zupełnie wykończoną wystawę poznańską, może imponować i służyć na wzór cudzoziemcom.

E. Ungeheuerówna b. VIII. kl.

Jak królowna Jola poznała co jest treścią życia.

(Bajka).

Królowna Jola była dzisiaj smutna i zła. Od samego rana wszystko nużyło ją i niecierpliwiło. Wielkie ceremonie przy ubieraniu, kiedy dwanaście dam dworu pomagało jej przy wyborze tualety, doprowadzało ją do wściekłości. To też zupełnie nie ucieszyła się białą, podobną do obłoku szatą, na którą damy dworu zdecydowały się po długich debatach. Gniewał ją stary król i to, że wodził za nią rozmiłowanymi oczyma i to, że trzęsła mu się głowa pod wspaniałą koroną, gdy wraz z ministrami składała mu oficjalne powitanie. W wielkiej sali tronowej stała drobna i biała, zaciskając małe piąstki, podczas gdy sześciu ministrów o 12 kroków za nią według ceremoniału składało głębokie ukłony. Trzęsący głos spytał: „Jak spałaś kochana córeczko?”

„Dziękuję”—odpowiedziała chłodno, i oczy pełne zadumy, zwróciła ku wysokiemu oknu, za którym igrały na wietrze delikatne gałązki. Patrzała—patrzała... Taka była cudowna wiosna, a ona musi czekać, aż sześciu ministrów skończy nienawistny ceremoniał. — Szósty cofał się wreszcie, zgięty w ukłonie i wszyscy, o irytująco pokornych minach stanęli za nią—marszałek dworu dał znak—audjencja skończona.

Ze skrzywionemi usteczkami szła Jola na drugi koniec pałacu do królowej-matki. To chyba najprzykrzejsza chwila dnia. Niecierpiała pięknej macochy...

Przechodząc przez długą galerję patrzała z tęsknotą na każde okno. Niestety, nie mogła się zatrzymać przy żadnem z nich—postępowało za nią bezszelestnie sześć dam dworu.

Tam za oknami był park królewski, ciągnący się milę, a za nim, za wjazdową bramą, do której raz jeden tylko dotarła, był szeroki, tajemniczy świat—tak bardzo pragnęła go poznać! Stanęła w drzwiach sali i obejrzała się ukradkiem. Damy dworu, które szeptały i chichotały, widząc jej wzrok, umilkły natychmiast i przybrały ugrzecznione miny—tak było zawsze. Z pasją weszła do komnaty pani-matki. Królowa powitała ją kwaśnym uśmiechem. Królowna dygnęła, za nią sześć dam dworu. Zawsze to samo—odkąd pamięta zawsze i wiecznie to samo. Ukłony i powitania, powitania i ukłony. — Stała znowu z zaciśniętymi rączkami i patrzyła na macochę nienawistnym wzrokiem.

„Córeczka dziś bez humoru?...“ spytała królowa.

Odpowiedziała sztywno: „Tak pani“.

I znów wzbierała w niej cierpka złość, kiedy patrzyła na niskie ukłony dam dworu i ich sakramentalne „Witaj królowo“ Wycofała się zgięta, jak nakazywał ceremonjał i wyszła.

Teraz była kolej na kaplicę. Ze starą nauczycielką i nieodłącznym orszakiem klęczała w ławce przed wielkim, złożonym ołtarzem. Tu według ceremonjału miała zostać pół godziny, a przecież nic jej tu nie trzymało. Miała głowę jakby pustą i nie umiała znaleźć słów, którymi-by przemawiała do Boga. Wyszła z kaplicy pełna udręki; jakież życie jest nudne i gorzkie...

U drzwi kaplicy jak codziennie stali ubodzy. Nienawidziła ich—byli brzydcy, brudni, a wedle ceremonjału miała się zatrzymać z nimi całe dziesięć minut. I — o zgrozo! miała z nimi rozmawiać!, z tymi paskudnymi, brudnymi ludźmi, którymi się tak brzydziła. Z maleńkiej sakiewki rozdawała im pieniądze, nie patrząc na nikogo. Ubodzy także nie zbliżali się do niej. Nie dawniej jak tydzień temu, kiedy jedna z żebraczek zaczęła Joli opowiadać o chorobie swojej córki i prosząc dotknęła jej ręki, królowna wpadła w furję i omal nie zemdłała. Teraz stali wszyscy o kilka kroków. Ale mimo to dolatywał do Joli jakiś dziwny i nieprzyjemny zapach—nienawidziła tych biedaków i nie obdarzyła ich nawet jednym spojrzeniem. Odeszła podobna do pięknego, złego bóstwa...

Następował teraz sztywny, ceremonjalny spacer. Musiała iść obok nauczycielki. Aby jej dokuczyć, szła bardzo prędko, a gdy zasapana staruszka pytała, czy Jej królewska mość nie raczy spocząć, odpowiadała krótko: „Nie“. I szła dalej, zrywała wysmukłe lilje, kwitnące obok ścieżki, poto tylko, by obrywać ich kielichy. Udręczona nauczycielka nie odzywała się ani słowem, słońce świeciło pełne blasku i dobroci, a Jola, podobna do białego motyla szła ciągle naprzód, zostawiając za sobą szlak okaleczonych kwiatów, białych, oderwanych kielichów i zielonych łodyg.

Po powrocie do pałacu pełna znudzenia królowna słuchała w czasie posiłku jak najślawniejszy trubadur śpiewał piosenki.—Wydały się Jej dziwnie rozlewne i mdłe. Potem stary giermek grał na cytrze, potem lekcje ze sztywnym profesorem, audjencje, posiłki, aż wreszcie miała chwilę zupełnej swobody. Wymknęła się do ogrodu.

Kwiaty w to upalne przedwieczrze pachniały mocno. Królowna biegła szybko przez główną aleję. Postanowiła dotrzeć do końca parku, a o ile się uda wyjść po za bramę. Biegła—przystawała by odpocząć a potem biegła co sił dalej i dalej. Krwawe słońce chyliło się ku zachodowi, gdy dopadła bramy.

Skorzystała z chwilowej nieuwagi strażnika, uczepliła się z całej siły wrót, aż się otwarły — była wolna!

Przez szeroki gościniec szła zadumana, patrzyła na drogę, wijącą się w pyle słonecznym, na górę, za którą zachodziło czerwone słońce. Samym szczytem posuwał się człowiek, robiący dziwaczny, ale piękny ruch ręką. Tak jakby się kłaniał niebu i ziemi. Królowna nie widziała tego nigdy. Znała wspaniałe ogrody, cudowne pałace, dywany i makiety czarowniejsze od snu, a jednak to na co patrzyła wzbudziło jej zachwyt. To też szła ciągle naprzód, aż białe jej pantofelki okryły się kurzem i uczuła wielkie zmęczenie. Postanowiła odpocząć. Usiadła na kamieniu przydrożnym i patrzyła na skraj widnokręgu tam, gdzie kończyła się złota, wijąca się droga. Środkiem jej szedł wolno wysoki człowiek, macając drogę kosturem.

„A, ślepy żebrak” — pomyślała królowna. Chciała odwrócić od niego oczy, ale było coś w jego twarzy i całej postaci, co ją przyciągało. Był smukły, młody, a piękną twarz jego okalały jasne włosy; przytem uśmiechał się łagodnie, mimo, że ciało jego okrywały łachmany.

Tego nie mogła pojąć królowna. Zawołała, zdziwiona własną odwagą: „Człowieku! zatrzymajcie się! „Staął, obracając ku niej swą bladą twarz i zasłże bielmem oczy i spytał: „Kto woła?”

„To ja, królowna z zamku”, odpowiedziała Jola. A kiedy usiadł koło niej na zielonej, przydrożnej murawie spytała: „Czy jesteś może żebrakiem?” Dziwnie łagodnym głosem odpowiedział: „tak”. Ośmielona królowna pytała dalej: „Dlaczego zatem nigdy nie przychodzisz pod drzwi kaplicy, gdzie codziennie rozdają jałmużnę?”

Zapadło milczenie. Zachodzące słońce oświeślało łagodną czerwienią twarz niewidomego.

Odpowiedział jej wkońcu pomału, jakby ważąc każde słowo: „Bo widzisz, Ciebie wszyscy nienawidzą królowno. Jesteś bez serca, dajesz jałmużnę, ale nie czynisz tego z litości”.

Jola słuchała zdumiona—litość—nie znała takiego wyrazu. A tymczasem żebrak pytał dalej: „Czy jesteś szczęśliwa?”

„Nie, nie! nudzę się straszliwie i niema nic na świecie coby mnie radowało” wykrzyknęła i zaraz potem dodała: „A ty czy jesteś bardzo nieszczęśliwy? Czy czujesz nudę dręczącą?”

Uśmiechnął się znów: „Nie — ja jestem szczęśliwy!”

Królowna nie rozumiała nic. Ani tego, jakim sposobem ten ślepy żebrak w łachmanach mógł być szczęśliwy, ani jak śmiał powiedzieć jej—królownie, że wszyscy jej nienawidzą, i tego nie rozumiała dlaczego nie czuła się jego słowami dotkniętą? Wyszepiała prędko: „Wytlómacz...”

Ale niewidomy zaczął śpiewać pieśń. Królowna słuchała jej zdumiona. Jak dziwną dla niej była!

Żebak śpiewał, że Bóg kochając stworzył człowieka i człowiek musi żyć—kochając. Musi kochać wszystko co go otacza: słońce złociste—uśmiech Boga, które go ze snu budzi, zieleni traw i wdzięk kwiatów, ptaki swiergotliwe, pył ludzkich ścieżek, starość radosną i trjumfującą młodość, piękno i brzydotę. Miłość unosi się wszędzie—wszystko łączy niby złota nić. Jeśli miłujesz świat cały, ludzi, zwierzęta, lasy, łąki i i ziemię całą—czyż szczęście nie wypełnia po brzegi twego serca? Wówczas potrafisz odnaleźć piękno w najdrobniejszym stworzeniu, potrafisz zrozumieć celowość wszystkich zdarzeń, na ludzkie czyny patrzeć z pobłażaniem, a nie z nienawiścią... Wówczas nie odczujesz już nudy i przesytu bez końca, bo to melancholja ludzi o pustych sercach.

Zaszło już słońce i wokół snuły się liljowe cienie. Królowna płakała cicho—zrozumiała czego brakowało jej życiu. Chciała się jeszcze dowiedzieć jednego: co znaczył ów dziwaczny gest człowieka, idącego na wzgórzu, coś rozsypywał, ale ruchem ręki zdawał się kłaniać niebu i ziemi.

„Ach—odpowiedział ślepiec—on siał“. I długo opowiadał żebrak królownie, jak wygląda na świecie praca. Mówił, że każda praca jest piękna i, że każda ma swój plon. Z zasianych ziarenek wyrosną kłosa szumiące, a z nich będzie chleb dla spożywania. Mówił, że właśnie umiowanie pracy czyni człowieka najszcześniejszym.

Świeciły już jasne gwiazdy, gdy Jola wracała do zamku. Na drodze spotkała orszak dworzan, którzy zaniepokojeni jej nieobecnością, wyszli na poszukiwanie królowny. Uśmiechnęła się do nich mile i przeprosiła za trudy. Na twarzach ich odbiło się zdumienie. Lecz jeszcze więcej zdziwiły się damy dworu, czekające w sypialnej komnacie gdy królowna przywitała je czarownym uśmiechem i zaczęła z nimi rozmawiać. Tchnęła miłość w ceremonjał.

Potem Jola usnęła w złożonem łożu i śniła, że potrafiła tchnąć miłość w każdą czynność dnia i, że swe puste dotąd życie wypełniła pracą.

Wicula Wodzinowska.

Melodje.

Od pół wieczorna rosa
Fujarki niesie ton,
Zbłąkana wdzięczna nuta,
Z dalekich płynie stron.

Przed moim gankiem teraz,
Gdy wietrzyk ustał już
I tylko się unosi
Zapach od klombów róż,

Skonał ostatni akord
Pieśni z dalekich dróg,
A księżyc, z za drzew wschodząc
Rzucił garść srebrnych smug...

I tylko ciszę wkoło
Przerywa skrzypiec szloch...
Czyjaś się korzy dusza,
Padając twarzą w proch...

Zakłęte grają skrzypce
Zakłęty płynie głos...
A księżyc się przegląda
W błyszczących kroplach ros...

Serduszko.

Wycieczka do Mydlnik.

W piątek dnia 19 b. m. odbyła się wycieczka do Mydlnik w celu zwiedzenia wzorowego gospodarstwa majątku Uniwersytetu Jagiellońskiego.

Zaraz po przyjeździe obejrzałyśmy tamtejszą stację meteorologiczną, której kierownik udzielał nam dokładnych informacji. Poznałyśmy ostatnie urządzenia, służące do badania ilości opadów i temperatury w różnych głębokościach ziemi. Do mierzenia dokładnej temperatury dziennej służy t. zw. psychrometr. W różnych głębokościach umieszczone termometry wskazywały różne temperatury przyczem, gdy płytszy termometr wskazywał 40° to na głębszym było 16°.

Po obejrzeniu stacji meteorologicznej zaczęłyśmy zwiedzać uprawy roli; widziałyśmy wzorową uprawę szparagów, gdzie z niecałych 3 mórg zebrano 2.000 kg. Znajdują się tam także ciekawe rodzaje traw stepowych spotykanych również w dolinie ojcowskiej a charakterystycznych dla Podola i Ukrainy. Najciekawszym okazem jest ostnica pierzasta, która się tem cechuje, że może się wysiewać podczas wielkich susz.

W inspektach były wspaniałe ogórki, melony, kaktusy i 20000 pomidorów. Jednakże głównym przedmiotem hodowli jest pszenica której jest 400 odmian. Porównywa się bowiem wszystkie gatunki i ich wydajność i oznacza się te, które najlepiej nadają się do uprawy.

Zwiedziwszy dokładnie gospodarstwo rolne i posiliwszy się udałyśmy się do zabudowań gospodarskich, aby zwiedzić obory i stajnie. Z prawdziwym zachwytem oglądałyśmy piękne dwa gatunki: polskie i holenderskie, krów, utrzymanych we wzorowym porządku. Jest ich 52. Pobyt ten w stajni sprawił nas w doskonałe humory, gdy spostrzegłyśmy oryginalne nazwy krów. Istoty te widocznie były bardzo romantyczne, sądząc z ich imion. Była tam bowiem Nimfa, Marzanna, Nadzieja, Rywalka, Gryzeta. Szczególnie 2 krowy wzbudziły w nas zainteresowanie: mała, okrągła i tęga Różyczka oraz chuda, koścista i „smukła” Kalina. Podobała się nam też bardzo swawolne cielątko „Muszka”. Wśród koni były oryginalne imiona. Był tam Bimbas, żarłok, Ferdek, Luba i Sąsiadka.

Trzeciaczki zachwyciły się maleńkimi żółciutkimi kaczątkami oraz 3-tygodniowymi króliczkami. Na tem skończyłyśmy zwiedzanie.

Po parogodzinym odpoczynku i spożyciu wszystkich zapasów wesołe i z zasobem nowych wiadomości wróciłyśmy do Krakowa.

J. Piasecka i K. Stadnicka kl. VII.

Ojców.

Pewnego nieco pochmurnego poranku, gdy cała szkoła pogrążona była w rozpatrywaniu tajników wiedzy (czyli kiedy wszystkie uczennice były w klasie), członkinie kółka krajoznawczego wyrwały się na swobodę. Celem naszej wycieczki był Ojców. Od godziny dziewiątej oczekiwałyśmy autobus, który wkrótce miał po nas przyjechać. O! z jak wielką radością rzuciłyśmy się na wspaniałe fotele wielkiego wehikułu, ileż było zamięszania przy wyborze miejsc, umieszczaniu niezliczonych zapasów.

Wkrótce, pożegnane przez niektórych członków grona, ruszyłyśmy, zwracając się w stronę murów szkolnych, które pożegnałyśmy na cały ten dzień. Szybko ubywały kilometry, lecz czas upływał jeszcze prędkiej. Po drodze oglądałyśmy oryginalne domy bronowickie, charakterystyczne z budowy i sposobu malowania.

Niedługo potem ukazały się skały wapienne i piękne lasy sosnowe. Z podziwem patrzyłyśmy na to piękno przyrody, która tak hojnie obdarzyła nasz historyczny Ojców. Wysiadłyśmy z autobusu

w pobliżu Bramy Krakowskiej. Podziwy nasze nad interesującą skałą o oryginalnem oknie u szczytu przerwał deszcz, przed którym musiałyśmy się schronić do domu wycieczkowego. Pomimo głodu (zapasy nasze pojechały z autobusem) z zaciekawieniem oglądałyśmy cudny widok, który roztaczał się wokoło.

Dzielne abiturjentki, uzbroiwszy się w płaszcze i parasole, powędrowały do autobusu i wkrótce potem nasycone (może nawet objedzone) ruszyłyśmy do Pieskowej Skały. Tu zwiedziłyśmy ogromny zamek, niegdyś własność Zebrzydowskich, w którym pokazywano nam salę rycerską, lochy i ciekawą szafę gdańską, kryjącą tajemne przejście. Byłyśmy wszystkiem zachwycone, temwięcej, że deszcz przestał padać i już do końca wycieczki towarzyszyła nam cudowna pogoda. Po drodze zatrzymałyśmy się w Grodzisku i wstąpiłyśmy do skromnego, lecz miłego kościółka. Tu również widziałyśmy pustelnię Św. Salomei i kamienne łoże, na którym według legendy spała ta święta.

Po południu wróciłyśmy do Ojcowa i porzuciwszy nasz autobus, zaczęłyśmy się mozolnie wdrapywać na górę Chełmową, w której znajduje się Grota Łokietka. Cała nasza paczka, zaopatrzona w świeczki, posuwała się z gwarem naprzód, niczemś jakaś dziwaczna procesja podziwiała, kamienne łoże Łokietka, jego jadalnię, gdzie „czytał gazety“ jak powiedział nasz przewodnik i spiżarnię, gdzie jedna z trzeciaczek znalazła skórkę chleba i koniecznie chciała nas przekonać, że to zabytek średniowieczny. Prześliczne stalaktyty i stalagmity błyszczały w świetle magnezjowem zamieniając grootę w tajemniczy świat baśni. Ze szczytu góry podziwialiśmy rozległy widnokrąg, a wycieczkę naszą zakończyłyśmy zwiedzeniem „dzikiego wąwozu“, z którego każda wróciła z bukietem kwiatów.

Wreszcie nadeszła chwila odjazdu. Z zasmuconemi minami wsiadłyśmy do autobusu. Że jednak trudno jest wracać milcząco z tak miłej wycieczki, śpiewałyśmy z zapałem wesołe piosenki i ani się nie spostrzegłyśmy, kiedy autobus znalazł się na ulicach Krakowa.

E. Gimińska kl. IV.

Kronika.

Czerwiec—to najmiłszy miesiąc dla „uciemiężonej“ młodzieży. Obfituje on wprawdzie w różnego rodzaju emocje, ale równocześnie przynosi szereg rozrywek i perspektywę bliskiej swobody! Czyż jest bowiem członek społeczeństwa szkolnego, którego nie podniecałoby to magiczne słowo—wakacje!

Miałśmy więc w czerwcu wycieczki, zwiedzania, przeprowadzki z klasy do klasy (w związku z maturą), rozpoczął się przemity kurs pływania, który trzydzieści niezgrabnych „szczurów lądowych“ zamienił na wiotkie syreny, była wreszcie—matura!

Kilkadziesiąt koleżanek naszych wyfrunęło z gołębnika na świat szeroki z tym ciężko zapracowanym błękitnym dyplomem, który jest marzeniem naszych lat szkolnych. Oto te szczęśliwce:

Antoniewiczówna Hala, Baranowska „Mufa“, Blochówna Ewi, Ciechanowska Marysia, Czubryńska Nusia, Guzikówna Staszka, Janke Eryczka, Kozubowska Zosia, Krasińska Irka, Kreutzerówna Kazia, Kuchcińska Wisia (Kucha), Kwiecińska Janka, Lipińska Janka, Młodzianowska Rysia, Potocka Lila, Rogalska Jasia, Soswińska Cesia, Starkówna Cesia, Stocka Jasia, Szumska Irka, Skorupska Józia, Tomaszkieviczówna Basia i Ungeheuerówna Ziunia.

Pożegnanie tych naszych maturzystek było ogromnie miłą uroczystością. Po pięknie odegranym marszu przez orkiestrę mandolinową, przemówił Pan Dyrektor:

„Szanowne Panie, a dla nas zawsze: Kochane Dzieci!“

Przeminęło niespodziewanie szybko całe lat ośm, przebrzmiały ostatnie miesiące i dni przedmaturycznej gorączki—stoimy u mety—właściwie już poza nią. Już to co było, jakiegokolwiek było, nie wróci. Jak za każdym mijającym dniem, miesiącem, rokiem—tak za minionym okresem lat szkolnych zatrzasnęły się raz na zawsze twarde spiżowe, już nigdy nieprzekraczalne wrota. Rzucamy przeszłości ostatecznie: wale! ostatnie radosne i smętne zarazem: żegnaj na zawsze! wynosimy garść wspomnień, może strzępy westchnień—a nie zapomnijcie w pamiętniku Waszych serc zapisać serdecznej pamięci tych trzech młodych siostrzanych duchów, co wcześniej odleciały, i już dalszych Waszych trudów dzielić nie będą...

A skoro tamto się skończyło, zwracamy się frontem naprzód, w przyszłość. Myślą, uczuciem, trudem macie wypełnić nowy w życiu okres.

Dotychczas inni za Was myśleli i decydowali. Z Waszej strony wystarczyło trochę dobrej woli, trochę wiary i zaufania do starszych i poddania się ich kierownictwu — żeby iść i nie zbłądzić oni wyznaczali drogę i cel, odtąd trzeba samym będzie wybierać między dobrem a złem, między dobrem a lepszym — i wraz z trudem i wysiłkiem wziąć na się i wybór drogi i pełną odpowiedzialność. I stawać będziecie raz po raz jak ów mityczny Herkules na rozstajnych drogach, gdzie decyzja nie będzie łatwa bo wymagać będzie i dużej sprawności umysłowej, jasnego zdrowego sądu i tej tężyzny moralnej, która za przekonaniem iść każe czynowi choćby wbrew światu całemu, a opiera się na cywilnej odwadze i harcie ducha i żelaznej wytrwałości.

My starsi, którzyśmy przez lat szereg widzieli Wasze wysiłki, radości i szkolne kłopoty a cieszyli się każdym Waszym nowym sukcesem, umysłowym czy moralnym, każdą nawet dobrą chęcią, dzisiaj patrzymy również z radością na końcowy tych prac rezultat; patrzymy z wiara i ufnością, jak Wy młode orlęta wylatujecie z gniazda, by próbować własnych skrzydeł na poszukiwanie nowych dróg nowych prawd, do coraz wyższych sfer. Ufamy, że Wam nie braknie dobrej wiary, ani mocnej woli, ani zapału, ani wytrwałości, że to, co było dotychczas zadatkiem i nadzieją, rozwinie się w piękny kwiat, w wysokie moralne walory, w pełne duchowe zwycięstwo.

A kiedy dzisiaj Zakład opuszczacie pragnąłbym w imieniu nas pozostających starszych i młodszych złożyć Wam jak najserdeczniejsze życzenia: oby Wam w całym Waszym dalszym życiu przynajmniej nie było nigdy gorzej niż dotychczas — nigdy gorzej niż tu w tym naszym Gołębniku, gdzie byliście otoczone wieńcem oddanych Wam serc, serc Waszych przełożonych i serc Kochających Koleżanek.

Może Wam się takie życzenie wydaje dziś małym i skąpem — a jednak... Gorzej być może, lepiej niełatwo. Obecnie ze zbyt jeszcze bliskiej przestrzeni czasu patrzącym wydają się Wam te minione szkolne lata może zanadto szare, jednostajne; wylatujecie myślą, pragnieniem i nadzieją w jasną, słoneczną, tęczową przyszłość. I niech się Wam ona spełni, niech się spełnią Wasze najpiękniejsze, najgórniejsze, najszlachetniejsze sny! Ale kiedyś po latach, gdy życie będzie już w znacznej części za Wami i gdy na miniony jego szmat spojrzycie z dalekiej perspektywy, bodaj czy w tem długim paśmie przeżytej przeszłości nie będą te lata szkolne plamą najbardziej świetlaną, wątkiem najradośniejszym... Dlatego powtarzam poważnie i bardzo życzliwie. Oby Wam nigdy w życiu przynajmniej nie było gorzej!

Ale tego nie dosyć.

Słyszaliście zapewne, jak to w głębokich instrukcjach prześwietnej Komisji Edukacyjnej wpajano w pedagogów to piękne hasło: Wychowujcie tak młodych, żeby im dobrze było z ludźmi ale i ludziom dobrze z nimi.

To drugie stokroć ważniejsze od pierwszego. Ubliżałbym Wam, gdyby na chwilę mógł Was podejrzewać o ten egoizm, któremu dosyć, gdy sam szczęśliwy. Wam niech zasadą się stanie „W szczęściu wszystkiego są wszystkich cele!“ Niech z Was ma prawdziwy i trwały pożytek i Wasza najbliższa rodzina i koleżanki i przyszłe otoczenie zawodowe i państwo i Kościół i ludzkość. Opaszcie i Wy to ziemskie kolisko i pchnijcie je na nowe lepsze tory. Wnieście w nowe życie potężny kapitał głębokich wierzeń i przekonań szerokich poglądów, gorących, szlachetnych uczuć dobrej silnej woli, moc prawych charakterów.

Pamiętajcie, że na Was patrzy Bóg i społeczeństwo, że ze swych poczyniń i działań zdacie przed nimi kiedyś poważny rachunek.

Rozszerzajcie, a zwłaszcza pogłębiajcie w sobie człowieka. Niech Wam coraz potężniejsze wyrastają skrzydła. Lećcie i nigdy nie zniżajcie lotu. A w tym locie podniebnym, na górnych orlich szlakach,—w ciągłej niezmordowanej walce o lepsze jutro dla ludzkości Wam dążącym per Aspera ad astra niech na całe długie i bardzo szczęśliwe życie błogosławi hojnie wielki, dobry, miłościwy Bóg!“

Osobne podziękowanie złożył Pan Dyrektor dla naszej kochanej „Kuchy“ (nie wiem czy wszystkie uczennice wiedzą, że nazywała się ona Jadwiga Kuchcińska), za Jej pełną ofiarności pracę dla szkoły. Kucha prowadziła sklepik, wydawała książki, rysowała afisze, wycinała linoryty, dekorowała sale, pisała artykuły i kroniki do „Świtu“, była członkiem orkiestry i t. d. jednym słowem przez lat ośm była duszą życia szkolnego i najusłużniejszą koleżanką.

Skoro przeminęło pierwsze wzruszenie wywołane serdecznymi słowami Pana Dyrektora, kol. Stadnicka z kl. VII. w imieniu uczennic żegnała abiturjentki.

„Kochane koleżanki“

Po raz ostatni zgromadziłyśmy się, aby pożegnać Was, opuszczające mury szkolne. Wy jesteście szczęśliwe lecz dzień ten, tak uroczysty dla całego Zakładu, smutny jest szczególnie dla nas siódmo-klasistek. Przez tyle lat bowiem byliście dla nas wzorem i starałyście się zbliżyć do nas. Dlatego pamięć o Was i miłość siostrzana w naszych sercach nigdy nie wygaśnie. Chociaż nas opuszczacie jednak nie zerwiecie węzła łączącego Was z nami. Za rok zwrócimy się do

Was z prośbą, abyście nas przyjęły do swojego Grona i wprowadziły nas na drogi nowego życia. Nie mówimy Wam więc: żegnajcie!, lecz do widzenia!.

A teraz kol. Młodzianowska, jako przedstawicielka szczęśliwych maturzystek, żegna Grono i nas, pozostające w tej szkole. Mówi tak bardzo serdecznie i miło. Dziękuje Pani Przełożonej za Jej kochaną, macierzyńską opiekę, dziękuje Gospodarzowi klasy za Jego ogromną życzliwość dla nieraz niesformej ósmej klasy i dziękuje całemu Gronu za Jego dobroć, starania i wśmiejch przy maturze, który tak im dopomógł do przetrwania tych najcięższych w życiu szkolnem chwil.

A potem żegna nas—uczenice. Radzi nam byśmy się nie bały matury, bo nie jest ona bynajmniej trudna dla tych które przeszły przez szkołę pracując sumiennie. Zapewnia, że nie tylko na rok przyszły koleżanki jej i ona z chęcią wprowadzą siódmaczki na drogi nowego życia i przyjmą do swego Grona. Zawsze i wszędzie mundurek w paski i granatowa czapka z G. K. będzie najlepszą legitymacją do ich serc.

Wreszcie żegna szkołę—ten strasznie kochany Gołębnik, którego próg przestąpiły po raz ostatni jako uczenice Gimnazjum. Po raz ostatni... „Ostatni raz brzmi nam donośnie gitara Ewi, ostatni raz towarzyszą nam głębokie tony kuchcinej mandoli,—po raz ostatni słuchamy przemówienia Pana Dyrektora i jesteśmy wśród Was—naszych koleżanek. Mówi o naszej kochanej szkole, o tym niesłychanie miłym nastroju jaki tu panuje, o tem, że przecież mimo wszystkich zasłużonych bur, jest nam tu strasznie dobrze, bo czujemy, że wszyscy są dla nas tak bardzo życzliwi i tak bardzo pragną, by ze szkoły stworzyć nam drugi dom. Wspomina, że Kucha jest właśnie takim żywym dowodem, iż szkoła nasza jest niezastąpiona. Przecież trzykrotnie nas opuszczała, gdy rodzice Jej przenosili się do innego miasta, a jednak zawsze do nas wracała, bo tu zostawiła „częstkę swej duszy“. Żegna więc szkołę i nas wszystkich stanowiących jej treść może niezbyt poważnym, ale tak doskonale do nas przemawiającym okrzykiem: „Nasza strasznie kochana buda niech żyje!“

I mogę zaręczyć, że miło łez wzruszenia okrzyk ten podjęty był z ogromnym entuzjazmem. Jeszcze raz zagrały mandoliny tęskną piosenkę pożegnania, a potem — z serdecznymi życzeniami i błogosławieństwem wędrują nasze ósmaczki w nieznane, w życie, w świat!

„Oeuvre collective“.

Nakładem učenic Gimnazjum im. H. Kaplińskiej w Krakowie.

Red. odpow. Jadwiga Brodowiczówna.